

Kazimierz Głazek*

Uwagi krytyczne o tak zwanej „liście filadelfijskiej”

Komercjalizacja nauki światowej została ostatnio posunięta do granic absurdu, czego wyrazem jest np. fetyszyzacja tzw. *listy filadelfijskiej* wymyślonej przez prywatną instytucję (Thomson ISI) ustanawiającą swoisty ranking czasopism naukowych, skonstruowany bez jasnych kryteriów, które mogłyby być powszechnie zaakceptowane. Choć już wiele czasopism specjalistycznych lub popularno-naukowych (jak np. poczytne *Forum Akademickie* lub *Orbital* Polskiego Towarzystwa Chemicznego) podejmowało ten temat (publikując sporo artykułów zarówno entuzjastycznych, jak i bardzo krytycznych), dorzuć parę uwag opartych na mojej wiedzy i własnych przemyśleniach.

Ponoć pierwotnym powodem rozpoczęcia pracy nad tym rankingiem, była godna pochwały chęć pomocy bibliotekom uniwersyteckim w selektywnych zakupach czasopism naukowych. Jednakże po powstaniu tej listy zamiar ten został bardzo wynaturzony. Wydaje się, że obecnie lista ta służy głównie do walki konkurencyjnej między wydawnictwami, a także do rzekomego wartościowania prac naukowych bez zapoznawania się z ich treścią. Polityka preferowania czasopism z tej listy (co jest zauważalne w niektórych gremiach opiniotwórczych w Polsce oraz częściowo w Europie Środkowej), prowadzi do marginalizacji czasopism (a nawet często do ich upadku) wydawanych przez uniwersytety bez wsparcia przez wielkie korporacje wydawnicze. Może to doprowadzić w końcu do wyeliminowania z rynku wydawniczego wszelkich czasopism naukowych wydawanych na zasadzie „non-profit”. Natomiast ocenianie prac głównie na podstawie tego, czy są publikowane w czasopiśmie z listy filadelfijskiej – jest po prostu szkodliwe. Poniżej postaram się uzasadnić ten pogląd w oparciu o moje wieloletnie doświadczenie naukowo-badawcze. Ze względu na moje zainteresowanie zawodowe, uwagi te będą głównie dotyczyć nauk ścisłych (a w szczególności matematyki).

Wykorzystywanie tej listy, zamiast czytania prac i ich rzetelnego oceniania pod względem merytorycznym, jest krytykowane przez wielu wybitnych uczonych, a często w wielu krajach budzi po prostu śmiech. Jest powszechnie wiadomo, że w realnym świecie najczęściej występuje porządek częściowy, a nie liniowy. Fakt ten powinien być najbardziej oczywisty dla matematyków (może z wyjątkiem tych od algebry liniowej lub analizy rzeczywistej, którzy sugerują się liniowym uporządkowaniem liczb rzeczywistych). Tak więc porównywanie różnych czasopism naukowych – nawet tylko z matematyki – nie jest całkiem uczciwe (a także narusza zasadę 1.11 rozdziału 1 *Zbioru zasad i wytycznych „Dobre obyczaje w Nauce”* opracowanego przez Komitet Etyki w Nauce przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk i opublikowanego w r. 1994). Takie porównywanie mogłoby mieć sens, gdyby dotyczyło wąskich dyscyplin naukowych (ale wówczas należałoby zmienić metodę generowania takich list w odrębny sposób dla różnych specjalności). W jednych dyscyplinach jest więcej czasopism, w innych mniej, i zależy to od różnych czynników pozamerytorycznych, jak np. finansów i mody. Bywa i tak, że w niektórych obszarach nauki trudno opublikować prace w czasopiśmie poza tą listą, gdyż po prostu wszystkie (lub prawie wszystkie) znajdują się

na wspomnianej liście. Nawet specyfika różnych działów matematyki jest bardzo rozmaita. Porównywanie w sposób liniowy czasopism i wyników naukowych w różnych dyscyplinach nauki (czy nawet w rozmaitych działach jednej dyscypliny) miałyby więc podobny sens jak porównywanie wyników w różnych dyscyplinach sportowych: Czy wynik mistrza w boksie jest lepszy od jakiegoś wyniku w skokach narciarskich, w sportowych grach zespołowych lub w sportowo traktowanych grach takich jak brydż, czy też w szachy? Na tym przykładzie najlepiej widać absurdalność takich porównań.

Dowiedziałem się ostatnio, że żadne nowe polskie czasopismo matematyczne nie może normalną drogą wejść na wspomnianą listę, chociaż miałyby spełnione wymagane kryteria, gdyż limit na czasopisma całkowicie polskie (tzn. bez kooperacji wydawniczej z zagranicą) wynosi trzy. Zatem trzeba byłoby wyeliminować z tej listy inne polskie czasopismo, aby na nią się dostać. Co prawda, są pewne sposoby wejścia na „listę”, omijając przyjęte procedury: można np. zapłacić odpowiednią, raczej dużą, kwotę pieniędzy (dwa lata temu wynosiła ona ponoć 10 tysięcy dolarów, a obecnie zdaje się 15 tys. \$ – jak dowiaduję się z różnych źródeł) lub też wejść w ścisłą współpracę z jakimś znacznym wydawnictwem zagranicznym, które sponsoruje badania rynku prowadzone przez firmę „Thomson ISI” (w ten sposób na listę znalazły się takie czasopisma jak: *Czechoslovak Mathematical Journal* – współpracując z wydawnictwem Plenum, oraz *Studia Logica* – we współpracy z Kluwerem). Duże, międzynarodowe wydawnictwa chętnie przejmują czasopisma uniwersyteckie, czasem łącząc je z innymi, zwiększając nakład. W efekcie dana uczelnia traci swe prawa do tytułu, a często poziom czasopisma, zamiast się podnieść, zostaje obniżony. Stało się tak podobno z niektórymi czasopismami dotyczącymi matematyki. Specjaliści podpowiadają mi przykład: *Journal of Differential Equations*. W przypadku czasopisma z algebry ogólnej *Discussiones Mathematicae – General Algebra and Applications*, które ja redaguję – przejście go (a takie propozycje już dostawałem) przez zagraniczne wydawnictwo, spowodowałoby utratę możliwości bezdewizowej wymiany na inne czasopisma zagraniczne, a to by zubożyło bibliotekę Uniwersytetu Zielonogórskiego o 50 tytułów (a w tym m.in. *Algebra i Logika* z Nowosybirsk, *Archivum Mathematicum*, *Bulletin of the Korean Mathematical Society*, *Commentationes Mathematicae Universitatis Carolinae*, *East Asian Mathematical Journal*, *Fundamentalnaja i Prikladnaja Matematika* z Moskwy, *Glasgow Mathematical Journal*, *Journal of Mathematics of Kyoto University*, *Proceedings of the Edinburgh Mathematical Society*, *Southeast Asian Bulletin of Mathematics*, które są bardzo wartościowymi czasopismami, a ich zakup bardzo by obciążał budżet mojej uczelni).

Metodę takiej powierzchownej klasyfikacji czasopism i prac naukowych, z pomocą jedynie ich rankingu, a więc np. stwierdzając czy dane czasopismo znajduje się (i ewentualnie, na którym miejscu) na „liście filadelfijskiej”, wysmienienie skompromitował w roku 1996 Alen Sokal (profesor fizyki), publikując w renomowanym czasopiśmie socjologicznym *Social Text* (oczywiście ze wspomnianej listy) swój pseudo-naukowy artykuł, którego tytuł w polskim tłumaczeniu brzmi *„Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji”*. Dowodził on związków między matematyką i fizyką a naukami humanistycznymi, używając terminologii wyglądającej na naukową i cytując wielu najwybitniejszych francuskich intelektualistów. Uwadze wydawców uszło, że artykuł ten jest katalogiem nonsensów i jawnych żartów. Była to parodia tekstów, jakich wiele ukazało się w ostatnich latach, a napisana była dla sprawdzenia, czy ją wydrukuje redakcja poważnego pisma. Eksperyment się udał! Później, w roku 1998, ten sam autor wraz z J. Bricmontem opublikowali książkę *„Fashionable Nonsense:*

Postmodern Intellectuals' Abuse of Science” (po polsku w 2004 r. w wydawnictwie „Prószyński i S-ka” pt. *„Modne bzdury”*), w której autorzy obnażyli pseudonaukowy bękot intelektualistów.

Mogłoby się wydawać, iż nauki ścisłe są bardziej odporne na różnego rodzaju hochsztaplerstwo, ale tak nie jest. Jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, inny fizyk (nieżyjący już), wysłał pod pseudonimem do kilku czołowych czasopism (teraz też z „listy” – wtenczas jeszcze takiego rankingu nie wymyślono), bzdurną pracę z pogranicza fizyki i matematyki. Wyglądała ona na poważną pracę naukową, w której trochę początkowych rachunków było przeprowadzonych poprawnie, ale do końcowych rezultatów – sprawiających wrażenie trochę prawdopodobnych – dochodziło się bez należytego uzasadnienia. Jak mi powiedział autor tego „testu”, wszystkie te czasopisma, z wyjątkiem jednego (w którym recenzent uciążliwie się przyznał, że nie rozumie jakiegoś fragmentu dowodu), opublikowały tę pracę i jest ona już często cytowana (w tych paru rozmaitych wersjach i pod różnymi nazwiskami)!

Wspomnę jeszcze o innym podobnym przykładzie nonsensownej pracy, napisanej (zdaje się ze złośliwości albo dla dowcipu) przez pewnego uczonego (pochodzenia włoskiego), i opublikowanej w kilka lat po drugiej wojnie światowej w *Dokładach Akademii Nauk ZSRR*. Jak dowiedziałem się z paru niezależnych źródeł (z Moskwy, Warszawy i z Wrocławia) – uczony ten (znakomity fizyk zajmujący się cząstkami elementarnymi, którego nazwisko dyskretnie przemilczę), będąc w sporze ze znakomitym fizykiem teoretycznym, akademikiem N.N. Bogoljubowem, chciał mu udowodnić, że nawet w tak dobrym czasopiśmie, gdzie prace są recenzowane przez znanych specjalistów, można opublikować bezsensowną pracę. To mu się udało (znowuż pod pseudonimem)! Ponoć na tym dowcipie szybko poznali się studenci Uniwersytetu im. Łomonosowa, i przez kilka miesięcy w bibliotece była spora kolejka oczekujących na odpowiedni tom tego renomowanego pisma, aż po pewnym czasie któremuś z czytelników ten dowcip tak się spodobał, iż wziął sobie na pamiętkę wyrwane strony z tego czasopisma ze wspomnianą „pracą”.

Ostatnio środowisko naukowe zostało zbulwersowane wiadomością, że znany fizyk molekularny niemieckiego pochodzenia, Hendrik Schön, pracujący w Bell Labs (Murray Hill, NJ) w Stanach Zjednoczonych tak sprytnie wymyślał dane do swoich badań, popartych rzekomymi eksperymentami, iż nawet był rozważany jako kandydat do nagrody Nobla – zanim się okazało, iż jest hochsztaplerem. Powołana przez kierownictwo Bell Labs w maju 2002 roku specjalna komisja (składająca się z wybitnych specjalistów, zatrudnionych w różnych prestiżowych uniwersytetach lub innych instytucjach naukowych) badała dorobek naukowy H. Schöna, i wyselekcjonowała 24 prace, których był on autorem lub współautorem, do szczegółowego zbadania ich pod kątem „the possibility scientific misconduct”. W rezultacie kilkumiesięcznej pracy tej komisji, wyłowiono wśród tych prac aż szesnaście zasługujących na zdyskwalifikowanie (warto dodać, że rezultat tej weryfikacji nie wykazał świadomego oszustwa innym współautorem podejrzanych prac). Przykłady te chyba w zupełności podważają zasadność stosowania wspomnianego rankingi czasopism.

Warto też wspomnieć o matematyku rumuńskim Dănuț Marcu, który notorycznie przepisywał cudze prace (por. np. recenzje w *Math. Reviews*: 92b: 51026, 92h: 11026, 97a: 05095, 97k: 05050, 98m: 05138, 99g: 05120, 2000c: 62127, 2001a: 20021, 2001i: 20040, 2002f: 51011, 2003d: 05175, 2004b: 05082, 2004g: 05032), zmieniając nieraz tylko tytuł, i publikował pod swoim nazwiskiem w czasopismach, niejednokrotnie o lepszej renomie (często z „listy filadelfijskiej”) niż te, w których ukazały się oryginalne prace. Jego „dorobek” – około 150 prac, z których

wiele umieścił w tzw. wiodących czasopismach, byłby w opinii niejednego biurokraty z gremiów opiniodawczych wystarczającym powodem do otrzymania tytułu profesora (a może też ubiegania się o członkostwo jakiejś Akademii?). Zatem wedle kryterium „listy filadelfijskiej” uznano by D. Marcu za twórczego matematyka, pracującego w jednym z głównych nurtów badawczych, i w dodatku nie zajmującego się tylko wąską dziedziną. Przykład ten zupełnie dyskredytuje stosowaną przez biurokratycznie nastawionych recenzentów metodę zliczania punktów oraz oceny prac tylko ze względu na czasopismo, w którym praca występuje.

Zapewne globalne badania porównawcze wpływu jakichś czasopism lub wybitnych prac na rozwój nauki mają też sens, ale nie powinny być one prowadzone wybiórczo oraz dotyczyć krótkiego okresu. Nie powinny być to tylko rozważania jednostkowe, gdyż wtedy ich naukowa wartość statystyczna jest łatwa do podważenia. Częstość wartości jakichś badań zostaje doceniona dopiero po kilkudziesięciu albo nawet setkach lat. Dziwi przy tym deprecjonowanie przez różnych urzędników publikacji w wydawnictwach, związanych z dużymi konferencjami (w których uczestniczyli wybitni specjaliści, często też oceniający prace przeznaczone do druku). Mylą oni przy tym materiały konferencyjne (publikujące zwykle tylko obszerne streszczenia prac, które w całości ukazują się później gdzie indziej), z wydawnictwami pokonferencyjnymi, które są - w wielu znanych mi przykładach - rzetelnie recenzowane (czasem niezależnie przez dwóch lub trzech opiniodawców). Wymieńmy tu chociaż znane serie wydawnicze jak *Colloquia Mathematica Societatis János Bolyai* oraz *Contributions to General Algebra*, czy też, wydawane przez AMS, *Contemporary Mathematics*. Są to wydawnictwa nie gorsze niż materiały pokonferencyjne, publikowane w specjalnych tomach czasopism często z tzw. listy filadelfijskiej (można tutaj – na przykład – wymienić *Linear Algebra and its Applications* tomy: **386** i **385** (z roku 2004), **373**, **366** i **365** (z roku 2003), **284**, **276** i **275** (z 1998) oraz **254** (z 1997), a także *Tatra Mountains Mathematical Publications* np. tom **17** (1997). Trudno więc zrozumieć, dlaczego zbiurokratyzowani opiniodawcy (np. z dawnych KBN lub CKK) uważają jednego typu „proceedings” za lepsze od innych bez ich przestudiowania, czy też choćby rzetelnego „ogłędnięcia”. Warto również zwrócić uwagę, że bywają przypadki czasopism znajdujących się aktualnie na omawianej liście, którym jednak nasi biurokraci przypisują tylko 1 punkt. Przykład: *Journal of the Korean Mathematical Society!*

Tzw. „lista cytowań”, opracowana i sprzedawana przez wspomnianą firmę Thomson ISI, opiera się tylko na czasopismach uwzględnianych przez nią do sporządzania rankingi czasopism. Sądzę, że nieuwzględnienie referencji występujących w poważnych monografiach, przy opracowywaniu tej listy cytowań jest dużym błędem również podważającym obiektywność takich rankingów. A przecież cytowania w monografiach więcej mówią o znaczeniu danych badań i podkreślają ich trwalszy wpływ na rozwijaną dziedzinę nauki, niż umieszczenie odsyłaczy – ze względu na istniejącą modę – w paru pracach w ceniowych czasopismach (co często autorzy tych artykułów robią bez zaglądania do wymienianych prac). Aby mieć obecnie „dobre cytowania”, wystarczy opublikować w poczytnym czasopiśmie pracę dotyczącą modnej tematyki, ale przy tym z dość łatwo wykrywalnymi błędami, którą później różni „naprawiacze” będą cytować. Wskazuje to wyraźnie, iż używany program do zliczania cytowań (lub kompletowania ich listy) był wymyślony przez wspomnianą firmę głównie w celach komercyjnych, do bezpośredniej promocji lub bardziej ukrytej reklamy, czasopism wydawanych przez sponsorów tego programu.

*Autor jest profesorem, pracuje w Zakładzie Matematyki Dyskretnej, Algebry i Informatyki